

Wybierzmy przyszłość

11 grudnia 2016

Zostawmy historię historykom, a politykę – politykom. Gdy politycy, szukając inspiracji dla swych działań, posiłkują się historią – najczęściej błędzą.

Rządy na świecie upadają z powodu afer korupcyjnych i skandali obyczajowych. Choćby u naszego południowego sąsiada, w Czechach. Trzy lata temu upadł rząd Petra Nečasa, po ujawnieniu przypadków przekupywania posłów posadami w spółkach skarbu państwa. We Włoszech od lat jedną z głównych przyczyn roszad na scenie politycznej są afery korupcyjne. W Polsce jest inaczej. Przez całe lata III Rzeczypospolitej orężem wojny polsko-polskiej były „teczki”. Nawet infoafera, jedna z największych afer korupcyjnych w Polsce, w której „zagięły” miliardy złotych, przeznaczone na informatyzację, nie doprowadziła do dymisji choćby pojedynczego ministra. Najbardziej „skorumpowanym” politykiem, który stracił posadę, okazał się Sławomir Nowak. Wyleciał z rządu wcale nie za przekręty przy budowie dróg i autostrad, które to inwestycje nadzorował jako minister budownictwa, ale za niewpisanie do oświadczenia majątkowego własnego zegarka.

MOC TECZEK

W Polsce, by pogrążyć rząd i polityków, potrzebne są „teczki”. To „teczki” doprowadziły do upadku rządu Jana Olszewskiego w 1992 roku. I nawet dzisiaj, mocno już pożółkłe „teczki” nie straciły mocy rażenia. Udowodnić politykowi korupcję lub usunąć ze stanowiska niekompetentnego urzędnika – to zwykle niemożliwe. Ale wystarczy znaleźć odpowiednią „teczkę”. Bogusław Kowalski, prawicowy polityk i założyciel Ligii Polskich Rodzin był prezesem Polskich Kolei Państwowych jedynie przez dwa dni. Powołując go na to intratne stanowisko nikt nie analizował, czy historyk z wykształcenia, dziennikarz i polityk będzie właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. 0

błyskawicznej utracie świeżego jeszcze tytułu prezesa zdecydowała „teczka”. Lecha Wałęsy nie da się usunąć z żadnego zajmowanego stanowiska. Ale politycy Prawa i Sprawiedliwości czynią usilne starania, aby usunąć go z polskiej historii. Używając „teczek” – jako koronnego dowodu. Czy uda się w nowych podręcznikach historii podmienić Lecha Wałęsę, na TW Bołka? Okaze się, gdy PiS doprowadzi do końca swoją „reformę oświaty”.

DEUBEKIZACJA

Jeśli ktoś sądził, że rozliczenie czasów PRL-u to już tylko zadanie dla historyków – był w głębokim błędzie. Gdy zaczęło brakować „teczek” tajnych współpracowników, politycy Prawa i Sprawiedliwości wzięli się za „jawnych współpracowników”. Wystarczyło przed 31 lipca 1990 roku ukończyć szkołę policyjną w Szczytnie, być informatykiem pracującym nad systemem PESEL lub po prostu sprzątać kible w jakiejś „niesłusznej” instytucji, by po przepracowaniu dziesiątek lat życia, stracić większość emerytury lub renty. Nikogo z posłów, którzy głosowali za przyjęciem tej skandalicznej ustawy, nie interesowały biografie „deubekizowanych” emerytów. Ich droga zawodowa i osiągnięcia w III Rzeczypospolitej. Media wielokrotnie przywoływały, jako przykład absurdalności zapisów ustawy, postać Grażyny Biskupskiej, byłej szefowej Wydziału Terroru Kryminalnego. Zasłużonej policjantki, mającej ogromne zasługi w zwalczaniu grup terrorystycznych. Nikt nie usiłował jej zarzucać, że była „ubekiem”. Wystarczającym „dowodem winy” był fakt, że w swojej pracy po studiach, parzyła kawę „ubekom”. To tylko jeden przykład, takich Grażyn Biskupskich można bez problemu znaleźć tysiące, wśród dzisiejszych emerytów i rencistów, którym grozi drastyczne obniżenie przyznanej kiedyś emerytury.

KARA ZA BRONIEWSKIEGO

Idąc tropem rozumowania rządzących, każdemu z dzisiejszych emerytów można karnie obciąć emeryturę. Bo każdy z nas,

uczących się i pracujących w Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, chcąc nie chcąc był „współpracownikiem” tamtej Polski. Ja sam zacząłem „jawną współpracę” z PRL-em bardzo wcześnie, chyba w czwartej klasie szkoły podstawowej. Zgłaszając się na ochotnika do udziału we wszystkich szkolnych akademiach rocznicowych, rocznicy rewolucji październikowej nie wyłączając. Jako „dowód winy” mogę dzisiaj wyrecytować z pamięci zapamiętane wówczas wiersze Broniewskiego. Po nich, już chyba żadna emerytura mi się nie należy.

35 LAT TEMU

Źle się dzieje, gdy do bieżącej walki politycznej zaprzęga się historię. I stwierdzenie to nie dotyczy wyłącznie rządzących. Opozycji również. Rocznice ważnych dla nas wydarzeń po to są rocznicami, byśmy o tamtych czasach pamiętali. Pamiętali o ludziach, którzy wtedy zginęli, bo polska historia składa się głównie z rocznic tragicznych. Ale Polska historia to również wydarzenia po dziś dzień dzielące Polaków. Nie ma sporów co do napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę w 1939 roku. Ale zawsze będzie się toczył spór o sens Powstania Warszawskiego, które pochłonęło 200 tysięcy ofiar cywilnych mieszkańców stolicy i doprowadziło do zburzenia Warszawy. Również zawsze będzie się toczył spór o zasadność wprowadzenia przez generała Jaruzelskiego stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku. Bo nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak potoczyłyby się losy historii w każdym innym wypadku. Obie strony ówczesnego konfliktu: „Solidarność” i władza, zawsze będą obstawać przy swoich racjach. Ale tak jak w przypadku „deubekizacji”, należałoby oczekiwać, że to już zamknięty rozdział naszej historii. Wszak właśnie mija 35. rocznica mroźnej nocy z 12 na 13 grudnia. I grozy tamtych czasów nie są w stanie zrozumieć nawet dzisiejsi czterdziestolatkowie.

PLAN KACZYŃSKIEGO

Jestem przeciwnikiem przywoływania czasów stanu wojennego na potrzeby dzisiejszej polityki. Bo „groza” dzisiejszych rządów

Prawa i Sprawiedliwości ma się nijak do sytuacji z grudnia 1981 roku. Nie ma sensu rozwijać tego tematu i podawać przykładów – różnice są oczywiste. Jeśli dzisiaj partie opozycyjne i poszczególni politycy usiłują podgrzewać emocje swoich zwolenników, odwołując się do stanu wojennego, to jest to raczej dowodem ich bezsilności. Piszę to nie bez żalu, bo sam jestem zaniepokojony kierunkiem, w którym prowadzi Polskę Jarosław Kaczyński. Wspominałem o tym w Trybunie dwa tygodnie temu, przyrównując działania PiS-u do stopniowej „rozbiórki” polskiej demokracji, gospodarki i samorządności. Ale przywoływanie tamtych czasów, to na powrót budowanie barykad. Dzielenie Polaków na tych, którzy stali po „tej” stronie i tych, którzy stali „tam, gdzie stało ZOMO”. Nie wiem, czy KOD i Mateusz Kijowski nie dostrzegają, że nawiązując do 13 grudnia i organizując w tym dniu manifestację, wpisują się w plan polityczny Kaczyńskiego – dzielenia Polaków. Jeśli na serio myślimy o odebraniu władzy Kaczyńskiemu, musimy, jako opozycja, dogadywać się, a nie odbudowywać historyczne podziały.

NIEPOSŁUSZEŃSTWO OBYWATELSKIE

Nie traktuję na serio hasła o „wypowiedzeniu posłuszeństwa obecnej władzy”. Hasła, które ma być myślą przewodnią demonstracji 13 grudnia. Bo niby na czym to „obywatelskie nieposłuszeństwo” miałoby polegać? Na myśl nasuwa się niepłacenie podatków. Pomysł bez sensu, bo abstrahując od tego, że nierealny, doprowadziłby do załamania finansów publicznych. Zabrakłoby pieniędzy na wypłatę 500+ dla dzieci i na wypłaty emerytur. To w czystej postaci realizacja zasady „im gorzej, tym lepiej” – jak już wszystko będzie w ruinie, pewnie i władza upadnie. Zdecydowanie nie polecam testowania takiego scenariusza. Kaczyńskiego należy pozbawić władzy w najbliższych wyborach – używając kartki wyborczej. W kontekście zapowiedzianej na 13 grudnia demonstracji, wspomina się o bardzo niedemokratycznych zapisach w ustawie o zgromadzeniach. Zgoda, nowelizacja ustawy o zgromadzeniach to

kolejna „cegiełka” w rozbiórce polskiej demokracji. W szczególności, forsowane do niedawna przez parlamentarzystów PiS-u, prawo rządzących do pierwszeństwa w wyborze miejsca i terminu zgromadzeń publicznych. Ale bez paniki, nie ma znaczenia, jaki będzie ostateczny kształt ustawy o zgromadzeniach. Przecież jak PiS na swoje manifestacje zarezerwuje wszystkie ważniejsze terminy i główne ulice w stolicy, to my zorganizujemy demonstrację w łomiankach pod Warszawą. To też doskonałe miejsce, bo najważniejszy jest cel zgromadzenia, a nie jego miejsce. I tej celowości organizacji demonstracji akurat w dniu 13 grudnia trochę mi brakuje. Dlatego nie zdziwi mnie skąpa, tym razem, obecność lewicy na manifestacji.

WOJNA CZY PRZYSZŁOŚĆ

Do kolejnych wyborów – wyborów samorządowych – pozostało niespełna dwa lata. To już tylko 700 dni. Opozycja na poważnie myśląca o odebraniu PiS-owi rzeszy wyborców, powinna przestać zajmować się historią. I przestać skupiać się wyłącznie na krytyce tego, co nam codziennie serwują Kaczyński, Szydło i Duda. Bo jak na razie, wyborcy dość mgliście widzą tą post-pisowską przyszłość. Dlatego, miast dzielić się, wracając do wydarzeń sprzed 35 lat, warto więcej czasu poświęcić przyszłości. Tak naprawdę, pozostał rok na przygotowanie programu, z którym Sojusz Lewicy Demokratycznej pójdzie do wyborów. By w wyborczym starciu przekonać wyborców, że następnym razem powinna rządzić (lub przynajmniej współrządzić) socjaldemokracja. Sondáže SLD pokazują, że wyborców skłonnych zagłosować na lewicę przybywa, ale nawet te 8 proc. z ostatniego sondażu, to zdecydowanie za mało. Aleksander Kwaśniewski w 1995 roku wygrał z „historią” – z Lechem Wałęsą. Dzisiaj prawica, ta rządząca i ta będąca w opozycji, ponownie próbuje zbijać kapitał polityczny na odwoływaniu się do przeszłości. Dlatego warto powrócić do zapomnianego hasła, które przyniosło sukces Kwaśniewskiemu. Bo dzisiaj na powrót staje się niezwykle aktualnym. Wybierzmy

przyszłość!

Autorstwo: Wincenty Elsner

Źródło: Trybuna.eu